



DILL TATE

MO
VA

PRZETÓŻYŁA
MARTYNA
TOMCZAK

BRUTALKI

DIZZ TATE



PRZETOŻYŁA
MARTYNA
TOMCZAK

DZIKUSKI

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Brutes

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Anna Poinc-Chrabąszcz

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Florian Rychlik

Obraz wykorzystany na okładce: Louis Prang, *American Chromos* (1874)

DTP: pagegraph.pl

Copyright © Deschaney (Dizz) Tate, 2023

Copyright © 2025 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo
Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Martyna Tomczak, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-931-3

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl



1

Gdzie ona jest?

Pierwsza zapyta pewnie jej matka. Raz po cichu, stojąc w drzwiach pokoju Sammy. Spojrzy na łóżko. Zerwaną z okna drżącą moskitierę. Za drugim razem głos jej się załamał. Za trzecim wybrzmi donośniej, z chrypką.

Do pokoju wpadnie ojciec, zada to samo pytanie. „Gdzie ona jest?” Za pierwszym razem słabo, jak nasze siostrzyczki, kiedy włożą nam do łóżek, nie mogąc uwolnić się od snów. Za drugim stanowczo, jakby pokój odmawiał odpowiedzi. Za trzecim przez telefon, tonem, którym wygłasza kazania, wyważonym, spokojnym, nawet kiedy mówi o diable i wszystkim, co się dzieje w piekle.

Pytanie popłynie liniami telefonicznymi, mężczyźni, usłyszawszy je, będą się przesiadać z foteli do samochodów.

Matka Sammy zadzwoni do swojej matki i innych zaufanych kobiet w okolicy, a one nie powtórzą pytania,

tylko rozłączą się i będą dzwonić dalej, może nawet pukać do drzwi, bo pytanie jest niecierpliwe, nie chce czekać na jęk dzwonek. Wyobrażamy sobie, że jego szmer wydobywa się z domu Sammy i Falls Landing na autostradę, płynie nad szczątkami placu budowy i pnie się po naszych blokach. Nawet jezioro się marszczy, gdy łaskocze jego taflę niczym pierwszy groźny podmuch wiatru. Noc wsiąka w niebo, z początku powoli, a potem nagle i do końca.

Obserwujemy to, jak zawsze wszystko.

Wkrótce pokazują się niebieskie smugi kogutów. Autostradą jeden za drugim nadjeżdżają radiowozy. Patrzymy, jak skręcają, przyspieszając na prawym brzegu jeziora. Znikają za bramą Falls Landing. Dach domu Sammy mruga znad białego muru, czerń i błękit, czerń i błękit. Wyobrażamy sobie policjantów przy drzwiach, głośnie pukanie, grymas matki wspartej na ojcu i ojca wspartego o framugę. Dziwne iluminacje na ścianach budzą dzieci sąsiadów. Światło niepokoi ich rodziców, którzy biegną sprawdzić, czy oddychają bezpieczne w swoich łóżkach.

Drżą nam dłonie, trzęsie się lornetka. Wyteżamy siły, by się skupić.

Z bramy Falls Landing wyłaniają się sylwetki. Pojedyncze i zbite w grupki. Choć są obce, to je rozpoznajemy, jak kobiety widywane na trzecim planie filmów albo w naszych snach. Stworzone do kościoła, w spódnico-spodniach i pastelowych sweterkach. Blask czołówek za-

mazuje im rysy. Zamiast twarzy mają krążki światła niczym postaci na niedokończonym obrazie. Maszerują przez plac budowy jak na podbój. Niektóre rozgrzebują glebę metalowymi drągami. Inne mają łopaty albo widły. Poszturchują, dźgają i dziurawią naszą ziemię. Są już nad samym brzegiem jeziora, najzuchwalsze trzymają narzędzia tuż nad taflą, ale cieszy nas, że żadna nie ośmiela się zaburzyć jej spokoju. Czarna masa wody zlewa się z bezgwiezdnym niebem, sporadycznie rozświetlana błyskami obrotowych reflektorów z lunaparku. Nad powierzchnią mży lampa księżycy.

Podążamy ich śladem. Poruszają się płynnie, bez wahania. Jakby wcale się nie bały, a my tego nie lubimy u obcych. Na placu budowy podważają fundamenty, zaglądają pod porzucone plandeki, gnijące deski i palety. Włamują się do pokazówki, jedyne ukończonego domu, i marszcząc nosy, pospiesznie omiatają latarkami igły, butelki po winie, brudny materac. Odkąd huragan zerwał dach, a robotnicy sobie poszli, jest tu słynne siedlisko miłości. Ktoś przytargał materac i osłonił go od deszczu rozwieszonym na kablach namiotem. Od lat przez cienką płachtę obserwujemy kształty i cienie, które to łączą się, to rozdzielają. Niczym anioły stróże dyskretnie spoglądamy z okien, tymczasem kościelne baby nie przyszły tu z błogosławieństwem. W każdym ich ruchu widać osąd. Nic nie znalazłszy, wychodzą, bezczelnie zostawiając otwarte drzwi.

Dwie maszerują dalej, wzdłuż jeziora i obok naszych bloków, w stronę dzikiego miejsca, do którego nawet my nie mamy odwagi się zapuszczać. W ślad za nimi obracamy lornetkę w lewo. Jaskrawy snop latarki wydobywa z ciemności tabliczkę na siatce, porażonego prądem ludzika z iksami zamiast oczu i włosami z iskier. Wysoka, gęsta trawa za płotem przypomina mur. Patrzymy, jak jedna z kobiet liże kciuk i przykłada go do rombu siatki. Dłoń gwałtownie odskakuje. Chichoczymy niemo pod nosem. Prawie widać, jak prąd przenika jej grube, niedowierzające kości.

Ich ruchy są stanowcze, skoordynowane, i obserwując je, niemal słyszymy ich myśli, głośnie skandowanie: „Gdzie ona jest?”, „Gdzie ona jest?”. Jednostajne, bojowe i dobitne.

Wkrótce noc gęstnieje tak mocno, że łatwo zgubić ślad. Polujemy na wiązki latarek. W przelotnych kręgach światła migają kły bezpieczeństwa kota, ogon węża, błysk porzuconej drabiny Eddiego, ale cała scena przypomina ciemny ekran, na którym od czasu do czasu wybucha jasna zbitka pikseli.

Zmęczenie ciągnie nas za powieki, jak na wspólnym nocowaniu, gdy przysięgamy sobie nie zasnąć, ale od kawy i strasznych filmów bolą nas brzuchy i mamy dziwne sny. Siedzimy po turecku w oknach, opierając ciężkie głowy o szybę. Obraz się wykrzywia. Świeące baby bez twarzy unoszą się niczym astronautki w przestrzeni

kosmicznej. Drabiny wiszą swobodnie, zaczepione o tkankę nieba. Kobiety podskakują, próbując chwycić się szczebli. Otwierają usta, jakby miały przemówić, ale słyszą tylko wrzask bezpańskich kotów toczących codzienne bitwy pomiędzy naszymi blokami.

Gdy się budzimy, wschodzące słońce jak gruby miesięć plami krwią jezioro. Przecieramy powieki. Baby wróciły na ziemię. Upał rozmywa powietrze wokół nich. Z wyraźnym przygnębieniem brodzą w różowych oparach. Porzuciły narzędzia i już tylko raz po raz wykrzykują jej imię. Wyglądają na zdesperowane, uleciała z nich cała stanowczość. Rozbawione ustawiamy ostrość w lornetce na ich błagalnie opadające żuchwy i rozciągnięte wargi. „Sam-my, Sam-my, Sam-my”. Znowu słyszą syreny na autostradzie, a do tego dalekie wrzaski turystów w lunaparkach za jeziorem.

Łaskoczemy rękami chłodne dłonie naszych matek. Lubimy zapach ich kaca, kwaśną woń wódki i limonek.

– Coś się stało.

– Co? – szepczemy.

– Córką pastora. Sympatia Eddiego. Nie mogą jej znaleźć.

„Sympatia Eddiego”. Wciąż udając śpiące, przewracamy oczami pod osłoną powiek.

– No, ta z krótką fryzurką. Jak jej tam?

Z krótką fryzurką? Ależ one są naiwne. Nie mają pojęcia, jaki targa nami żar ani o tym, co kiełkuje w naszych sercach.

– Sammy. – Staramy się panować nad głosem.

– Kawa gotowa – one na to. I jeszcze: – Wszystko wam opowiemy.

Potakując, wypraszamy je za drzwi.

Na dźwięk przekręcanej klamki wracamy do okien. Na placu budowy wyrósł festyn. Wokół pokazówki rozstawiono namioty. Wzdłuż muru Falls Landing stoją plastikowe kubły z lodem, a w nich tkwią butelki wody. Przy zjeździe z autostrady parkują pikapy załadowane płataniną wykrywaczy metalu, kijów, papieru i taśmy. Kościelne baby nie zniknęły, choć jest ich mniej, niż nam się zdawało, może kilkanaście, wszystkie w identycznych różowych koszulkach. Jaskrawych i bezkształtnych, z wielopaku. Kucają przed namiotami, podgrzewają kawę albo myją zęby, plując na skotłowane żdźbła. Przy bramie Falls Landing szeryf ściska w dłoni radio jak dzieciak, którego odesłali do kąta. Nawet przez szyby dobiegają nas znajome dźwięki, głosy z mieszkań, głosy naszych matek i babć na balkonach. Niektóre przyciskają ramieniem telefon do ucha – trik z czasów, gdy byliśmy małe i trzeba było ciągle nosić nas na rękach. Inne krzyczą do sąsiadek. Wiemy co, choć nie rozróżniamy słów. „Gdzie ona jest?” Lub inaczej, ale chodzi o to samo. Wiemy, które się modlą, które snują świńskie domysły,

które już płaczą i które zadają zbyt wiele pytań. Znamy wszystkie typy matek.

Wchodzimy do kuchni, gdzie trójkąt linoleum graniczy z brązową wykładziną pokoju. Nalewamy sobie kawy z dzbanka. Waniliowy zabielaacz. Trzy łyżeczki cukru. W tle ściszony telewizor. A w nim to co zwykle, nocne pożary, które wybuchają tu od początku lata, na tyle małe, że gasną samoistnie, zostawiając tylko osmolenia i stłuczone szkło. Pod płótnem fabryki nawozu wciąż trwa strajk, zgarbionym na skrzynkach robotnikom rosną między łopatkami anielskie skrzydła potu. Jest materiał o tej małej, której aligator odgryzł nogę przy stawie na polu golfowym, i nowe nagranie jej matki, robiącej selfie kilka minut wcześniej. A potem zdjęcie Sammy, niedawne, z ogoloną głową i nowym kolczykiem w chrząstce ucha. U dołu ekranu płynie napis Z OSTATNIEJ CHWILI, prezen-terzy szybciej przekładają kartki. Pokazują jeszcze jej ojca, jak na jednym ze swoich spędów unosi złożone dłonie.

Matki za naszymi plecami gaszą ekran.

Siadamy i dajemy im znak, by zaczynały.

– Nie znamy wszystkich szczegółów – mówią. – Zniknęła jeszcze za dnia. Bez niczego, pokój wyglądał jak zawsze, nie licząc zerwanej moskitiery.

Dmuchamy w kawę, przytakując. Rozumiemy, co mają na myśli. Czasem w sklepie, gdy stoją w kolejce do kasy,

podchodzimy do tablicy zaginionych. Niektórzy zniknęli lata temu. Patrzymy na dzieciaki z różnych hrabstw, na ich lepkie uśmiechy i błagalne odezwy rodziców. Szczególnie uważnie na dziewczyny. Wyglądają tak swojsko, a jednak są teraz w miejscu, o którym matki nigdy nam nie opowiedzą. Prowadząc własne śledztwa, poznajemy historie pełne obłęsnych szczegółów, od których nam niedobrze, choć w zasadzie znamy je od matek, tyle że ubrane w inne słowa. Rozumiemy, że las to nie las, a wilki to nie wilki. W tych historiach, przy których kiedyś zasypiałyśmy, matki są zawsze na wygnaniu, przekłute albo martwe.

– Wszystko dobrze? – pytają. – Całe miasto jej szuka, więc nie ma powodu do zmartwień.

Patrzymy na nie bez słowa.

– Niech was nie poniesie wyobraźnia. Pewnie poszła nocować do koleżanki.

Szczerzą do nas zęby. Zęby w odcieniu kawy od diety złożonej z papierosów i pasków wybielających.

Uważnie dobieramy stroje. Chcemy wyglądać jak najlepiej, ale jakby od niechcenia. Abnegacko, pięknie i niewinnie. Łóżka giną pod stosami ciuchów.

Leila włożyła spodenki gimnastyczne i porzuconą przez ojca czarną bluzę z kapturem. Britney jasnoniebieskie polo, spinki motylki i białe dżinsowe szorty, których wszystkie pragniemy. Jody klapki z cyrkoniami.

Hazel szorty i stary czerwony kostium Jody, wypchany chusteczkami, żeby się opinał. Isabel szeroką spódnicę i długi sznur plastikowych pereł. Christian wybrał kamizelkę w prążki, a oczy trzykrotnie obwiodł czarną kreską. Patrzymy w lustro. Sammy zniknęła, myślimy, a po nas nic nie widać. Nasze twarze nic a nic nie zdradzają. Rozmazujemy cień na powiekach aż po brwi. Usta malujemy błyszczkiem. Uśmiechamy się. Migoczymy. Jest tak, jakbyśmy nie istniały.

Na zewnątrz zwalniamy, żeby uciec od matek. Idziemy wzdłuż brzegu, utrzymując dystans. Przy pomoście leży w trawie drabina Eddiego. Przeskakujemy między szczelinami tak samo, jak następujemy na każdą szczelinę w chodniku.

– Mama mówi, że jeśli jej teraz nie znajdą, to mogiła.

– Moja się dziwi, że jej tata w telewizji nazwał ją aniołkiem, bo to brzmi, jakby umarła.

Parskamy śmiechem. Umarła!

Śmierć kojarzy nam się tylko z tatą Britney.

Pilnujemy się, żeby o nim nie myśleć.

Leila ukradła matce paczkę papierosów, naszych ulubionych, tych ze srebrną obwódką. Kucamy na stopniach pokazówki, Leila na szczycie, reszta niżej, tworząc piramidę. Leila sięga do tyłu i stanowczym ruchem zamyka drzwi.

– Ma ktoś mazak? – pyta.

Opróżniamy kieszenie. Mamy tylko konturówkę Christiana. Leila pisze na drzwiach WSTĘP WZBRONIONY, dorysowuje serduszko. Zwraca ołówek Christianowi, który patrzy smutno i wciska go z powrotem do kieszeni džinsów.

– Trzeba się rozdzielić – mówi Leila. – Rozdzielić się i słuchać, co gadają.

Wzruszamy ramionami, międląc w ustach filtry papierosów. Nie lubimy się rozdzielać. Lubimy być blisko, trzymać się pod rękę, oprzeć głowę na ramieniu obok, leżeć sobie na kolanach. Ale Leila kazała, więc trudno.

Chodzimy tu i tam. Kręcimy się wokół gromadki kobiet. Młodsze dzieci przyklejają anielskie skrzydła z tyłu różowych koszulek z twarzą Sammy. Plakaty wiszą na każdym słupie, zasłaniają liche ściany pokazówki, w równych odstępach oblepiają biały mur. Zdjęcie jest stare, inne niż to z telewizji. Sammy ma na nim długie włosy i nie nosi aparatu. Tak jakby wszyscy szukali innej dziewczyny niż ta, która co noc sfruwa z muru na spotkanie z Eddiem.

Drągi, lampy ultrafioletowe i łopaty mrugają w ostrym słońcu. Wszystko jak gdyby jarzy się od środka. Bolą nas głowy.

– Proszę, aby państwo nic nikomu nie pokazywali! – drze się przez megafon jedna z kościelnych bab. – Każdy znaleziony dowód trafia do nas, a my go prześlemy odpowiednim organom.

– Chyba płciowym – rzuca jakiś chłopiec.

Inny prycha ubawiony i zaraz obaj dostają po głowie zrolowanym plakatem.

Zerkamy na jezioro, gdzie jak zwykle panuje cisza. Woda jest zawsze nieruchoma, ale nam trudno uwierzyć w ten spokój. To musi być jakaś sztuczka i na pewno gdyby spojrzeć znieenacka, wystarczająco szybko, dostrzegłybyśmy prawdę, zgmiotły ją jak złapaną w dłoń muchę. Na drugim brzegu fabryka nawozu brudzi niebo sinym dymem. Z pomarańczowo-niebieskiej kolejki górskiej wypada grupka rozkrzyczanych zakładników. W słońcu błyska billboard reklamujący Kulinarną Przygodę Szereżady, brzuchy tancerek falują wokół mantry Dzieci Jedzą za Darmo.

Nasze matki palą papierosy, przyciągając spojrzenia spode łba. Podbiegamy czasem, żeby wtulić im się pod pachę. Pachną słodko, alkoholem z nutką płynu do kąpieli. Zawsze kupują te o najmocniejszych aromatach. Mandyrynka. Limonkowe orzeźwienie. Wanilia. Brązowy cukier.

– Coś jest nie tak. Nie zwołaliby po nic tylu ludzi.

– Wyszła z domu przez okno?

– Żartujesz.

– Naszych by nie szukał taki tłum.

– A bo ty się nie wydałaś za pastora.

– To na pewno.

Pod spojrzeniem kościelnych bab maskują śmiech, udając, że to kaszel.

– Halo, chcemy tylko pomóc, jak wszyscy – szepczą.
Rozchodzą się, grzebiąc w ziemi koturnami sandałów.

Ktoś wystawia na stół dzbanek z kawą. Z kubłów z wodą sterczą szyjki brązowozielonych butelek. Kradniemy jedną i robimy zbiórkę na stopniach pokazówki. Lubiemy piwo, zwłaszcza zimne. Britney beka po mistrzowsku i wszystkie wybuchamy śmiechem.

Głosy kobiet docierają tu wyraźnie. Nikt już nie szepcze. Poszukiwania zmieniają się powoli w regularny piknik. Nikt nic nie znalazł.

– Myślicie, że uciekła?

– Dziewczynkom to się zdarza, zwłaszcza w tym wieku.

– I porwania się zdarzają.

– Nie mów tak.

– Wiecie, że ogoliła głowę maszynką ojca?

– Myślisz, że on w tym maczał palce?

– Posyłają ją na basen w pianie do nurkowania.

– Bo?

– No, żeby nie świeciła golizną.

– Sama bym swoją wcisnęła w taką piankę, gdyby tylko się dało.

– Prędzej kota wciśniesz.

– Mniej drapie!

– Może się wystraszyła castingu?

– A ten jej chłopiec?

– Twierdzi, że nic nie wie.

– Wierzysz mu?

– Myślisz, że uciekła?

– Dziewczynkom to się zdarza, zwłaszcza w tym wieku.

Głośno przełykają piwo, siorbią mrożoną kawę przez słomki. Jakby słońce wyczyściło im umysły, żeby mogły zacząć od nowa. Dopijamy piwo. Britney rzuca butelką o ścianę przez pustą ramę okna pokazówki. Odłamki szkła sypią się na materac.

– Brit – mówi Leila. – Zwariowałaś. Tam się ludzie kochają.

Britney przygryza paznokieć kciuka. Część z nas chichocze, któraś kręci głową, ale nie lubimy się nie zgadzać, więc zapominamy. Wychylamy się zza rogu pokazówki. Dzieciaki z bloków, przywleczone tu przez matki, słyszą, że mają nie zadawać pytań, tylko szukać. Młodsze mają szalone fryzury, posklejane od upału, rozczochrane, jakby coś w nich żyło. Starsze robią balony z gumy, nieruchome i znudzone jak krowy na pastwisku. Ktoś przywiózł prowiant z marketu. Poznajemy plastikowe klosze, kanapki, blade ciastka z posypką. Kilka kurczaków z różną czeka na rozszarpanie. Jakiś chłopak częstuje dziewczynę resztką chipsów z dna paczki, ona odchyła głowę i okruchy wlatują jej do gardła. Twarze jedzących matek łagodnieją. Chłopcy biorą wielkie kęsy, dziewczyny ledwo skubią. Maluchy podejrzliwie zaglądają do kanapek, szukając składników, których postanowiły nie lubić. Gdziekolwiek spojrzeć, ktoś coś gryzie i przeżuwa: pomarańczowego kurczaka, indyka z majonezem,

minibrownie z lodówki. Widać ślinę zbierającą się w kącikach ust. Synchroniczne eksplozje pomidorowego miąższu. Dyndające żyłki tłuszczu. Przywiędłe smętnie listki sałaty. Tajemnicze drobiny wciśnięte między duże białe zęby.

– Nic nie mają – mówi Leila.

– Jak zwykle – mówi Britney i tym razem śmiejemy się wszystkie.



HISTORIE WARTO OPOWIEDZIEŃ



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH



WWW.MOVA.COM.PL



WYDAWNICTWO.MOVA



WYDAWNICTWOMOVA



ZAJRZYJ I BĄDŹ NA BIEŻĄCO!